



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Swiat Nr 250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubryniewicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

FRYDERYK SZOPEN

I NOWSZA KRYTYKA NIEMIECKA

przez

Jana Kleczyńskiego.

„Życie mu było cierpieniem, cierpienie życiem“, temi słowy kończy swe sprawozdanie o dziełach Szopena jeden z muzyków niemieckich, I. Schucht, (patrz *Neue Zeitschrift für Musik*, N. N. 33, 34, 35, 36, 49, 50, 51, 52). W tem zajmującym i pięknie napisanem wypracowaniu spotykamy nareszcie z przyjemnością jakby echo budzącego się we współczesnych Niemczech poczucia *sprawiedliwości* dla naszego mistrza. Po szkaradnym artykule, zawartym na nieszczęście w wielkim najnowszym encyklopedycznym słowniku *Mendla*, głos I. Schuchta przynosi nam prawdziwą pociechę. Pragnąc pomówić słówko o różnych fazach oceniania Szopena przez obcych, musimy przyznać, że lubo nie tak wymownym piórem skreślony jak Liszta, artykuł, o którym mówimy, jest bardzo ważny, bo napisany spokojnie, a jednak z zapałem, jest nader stanowczą odpowiedzią na głosy niechętnych, i również stanowczo oznacza stanowisko Szopena, jako poważnego muzyka, wśród *klasyków*.

Jeżeli bowiem pod wyrazami *klasyk*, *klasyk* rozumiemy jakąś prawidłową szkołę sztuki, to z pewnością ani Szopen, ani Schumann tej nazwy posiadać nie może—wszakże gdy, zdaniem mojem, słuszniej dziś nazwać *klasykiem* pięknem to co już jako piękne przez świat uznanem i przyjętem zostało, tedy ci dwaj najmłodszy mistrze, również jak Haydn i Beethoven, do *klasyków* policzni być muszą. Każdy zresztą z wymienionych

wyżej, *klasykami* dziś nazywanych mistrzów, wobec opinii świata współczesnego był takim samym *romantykiem* jak i późniejsi tak już urzędowo nazwani *romantycy*. Pierwsze kwartety Haydna, które nam się dziś wydają ideałem naiwnej prostoty, były z podziwem przyjęte przez współczesnych, jako dzieła przesadnej śmiałości, zuchwalstwa. Ostatnie kwartety Beethovena dziś jeszcze są przedmiotem sporów między muzykami, a ze wszystkich *klasyków*, on podobno najwięcej sobie pozwolił w swych dziełach prawdziwie *romantycznych* wyskoków, jakoto: wykroczeń przeciw harmonii, dyssonansów przedtem niepraktykowanych, naruszeń *formy* i t. d. Kiedy na próbie symfonii trzeciej (Eroica) na tremolandzie złożonem z septymy i dominanty waltornia wpadła z tematem, który składa się z samych dźwięków akordu tonikalnego, obecny tej kakofonii *Ries* wykrzyknął, że to *omyłka*—czego mu później nigdy Beethoven nie przebaczył; śmiały ten dyssonans dziś nikogo nie razi, wzbogacił on tylko duchowy nabytek praw estetycznych, będąc dowodem, że w niektórych razach, na krótką przynajmniej chwilę, najprzekrzesza kombinacja może być użyta, jeżeli prawo duchowe kontrastu ją dyktuje. Z takich-to właśnie genialnych wykroczeń przeciw regułom rośnie prawdziwy przybytek dla wiedzy muzycznej; i jakkolwiek prawa ich zastosowanie pozostają zawsze główną podstawą sztuki, — w *wyjątkach* to od tych praw spotykamy nieraz rysy najgenialniejsze i najpotężniej wzruszające. Tym sposobem i ten sławny szereg *kwint* i *septym* w Mazurku N. 4, op. 30 Szopena, wejść powinien do historii sztuki i uzyskać prawo obywatelstwa, którego mu stanowczo jeszcze dotąd niektórzy odmawiają! (nawet pp. Schucht i Schumann!)

„Życie mu było cierpieniem, cierpienie życiem!“ W tych słowach dla wielu cały Szopen się zawiera, w nich leży klucz tej sympatyj, jaką budzą dzieła jego—w nich również źródło pewnej ujemności, którą możnaby znaleźć w zbyt jednoton-

nym, elegijnym nastroju. Dla nas, usposobionych jeszcze z czasów przedchrześcijańskich do obyczajów cichych, do pewnego rzewnego poglądu na świat, taki mistrz jest najdroższym—bo jego pieśń jest jakby echem dusz naszych, echem grzmieć czasami i trąbą wojenną, ale częściej rozbrzmiewających szeroką nutą spokojnej lub smętnej sielskiej pieśni. Któryś z naszych filozofów powiedział, że „każda myśl wielka ma w sobie coś tęsknego“. Jeżeli się nie mylę, powiedział to Libelt i zdanie to, odnośnie przynajmniej do naszego usposobienia, niezawodnie nie jest paradoksem.

Ten zarzut, który Schumann stawia już czasem kompozytorowi Szopena, że są „zu polnisch“, spotykamy i w sprawozdaniu p. Schuchta. Przy rozbiórce najpierwszych kompozycji Szopena dostrzeżę on już w nich „wybitny typ słowiański, tak, że widocznie mamy do czynienia z zupełnie odrębną narodowością“. Dostrzeżę on w wielu miejscach tych dzieł ten „główny rys charakterystyczny, którym narody słowiańskie tak w sztuce i w poezji, jak w życiu i polityce się odznaczają“, a mianowicie: „uparte trwanie (*Hängen und Bungen*) przy pewnej głównej myśli, niemożność oderwania się od ulubionego obrazu lub idei, niejako krążenie ciągle w zaczarowanym i zbyt zacieśnionem kole własnych marzeń. Ztąd wykazuje jak trudnem jest wykonanie dobre takich ustępów w Szopenie, gdzie jedna myśl powtarza się kilkakrotnie bez zmiany. (Takie powtarzanie szczególniejszej spotykamy w Mazurkach, np. Op. 30 N. 2, Op. 33 N. 2, i jest to istotnie rys charakterystyczny malujący nasz lud, któremu jedna idea najczęściej smętna, krąży po głowie uparcie, i towarzyszy mu nawet wśród wesółych tańców). „Ta właściwość Szopena, — mówi dalej (str. 339), — pozostawiania zbyt długo przy jednej myśli, nie powinna być bynajmniej poczytywana za wielką jego dzieł zasługę. Przeciwnie, tę stronę jego twórczości za słabszą uważać należy. Miarę stosowną zachować w objawach naszych uczuć, nie stracić z oczu przewodniego celu: oto

zadanie równie w życiu jak i w sztuce ważne. Człowiek żywego i kłiwego temperamentu, pod wpływem podniecenia nieraz jednak tu właściwą granicę przekroczyć może. To właśnie zdarza się u Szopena¹⁾. Rozbierając Mazurki op. 6 i 7 Szopena, upatruje w nich charakter narodu, w innym miejscu bardzo charakterystycznie maluje melancholię, właściwą wschodnim narodom Europy, które są podobne do człowieka, mającego troskę w sercu, nieopuszczającą go nawet przy wybuchach najbardziej szalonej wesołości (str. 494).

Równie jak razi I. Schuchta zbyt monotony odciśnięć melancholii, stanowiący tło dzieł Szopenowskich, podobnie razi go i nagłe wybuchy wesołości tak właściwe temperamentom melancholicznym (a i w życiu codziennym Szopena nierzadkie), a które on charakterystycznym wyrazem: „*polnische Schrullen*“ określa. Do takich niepozwolonych wyskoków zaliczają się oczywiście owe wyżej wymienione kwinty w Mazurku op. 30, oraz akkompaniament kwintowy w środkowej części Nokturna *f dur*. (Choćbym miał się narazić w oczach p. Schuchta na opinię „lekkomyślnego i nieszanującego praw Słowianina“ — powiem otwarcie, że w tym ustępie jego artykułu już się przebija pewien pedantyzm niemiecki).

Oprócz tego szczegółu — i innych, o których niżej powiemy, ogólny charakter recenzji p. Schuchta i nawet wielkich wielbicieli Szopena zadowolnić może. Rozpoczyna się ta recenzja od uwagi, że „w historii cywilizacji wszystkich ludów spotykamy zjawiska, których współczesność nie jest w stanie dostatecznie ocenić, i których spuściznę duchową dopiero późniejsze generacje z całą świadomością uwielbiać umieją. „Każdy geniusz wyprzedza swój czas“ uważa to p. Schuchta za apodyktyczną prawdę; a jakkolwiek człowiek genialny, Fr. Liszt, oddawna już wypowiedział o Szopenie słowa pełne zachwytu, wszakże ogół społeczeństwa niemieckiego nie wydał jeszcze dotąd sądu bezstronnego (wyjawszy jednego Schumanna, którego krytyka jednak była również miejscami za surową), ani w żadnym piśmie nie była drukowaną praca, napisana w tym duchu, co obecna recenzja. To też jej autor na samym wstępie ucieka się nawet pod opiekunice skrzydła Liszta, pragnąc niejako własną swą śmiałość osłonić powagą tego mistrza. Za jego też idąc dziełem, streszcza życie Szopena, i wspólnie z Lisztem popełnia, rozumie się, pewne omyłki, na przykład rok urodzenia podaje 1810-ty nie 9-ty, wspomina o pomocy, jakoby udzielanej Szopenowi przez ks. Antoniego Radziwiłła i t. d. Drobne te usterki oczywiście już-by miejsca nie były miały, gdyby artykuł p. Schuchta był pisanym po życiorysie p. Karasowskiego, którego wydanie w języku niemieckim z tego i wielu innych względów nader jest pożyteczne⁽¹⁾.

Z przyjemnością streszczamy niektóre uwagi pana Schuchta — pragnąc w pewnych miejscach przytoczyć, dla porównania, zdania o tychże dziełach lub szczegółach, wygłoszone przez współczesnych Szopenowi muzyków.

Przedewszystkiem w melodiach Szopena widzi on częste używanie odległości muzycznych, uważanych za wyjątkowe — jako to: zwiększonych sekund, zmniejszonych tercji, kwart etc. obok skoków więcej niż oktawowych, gdyż często duodecymowych i dalszych. Upatruje i w tych oryginalnych zwrotach pewną właściwość charakteru, niecierpiącego przymusu. Pod względem harmonicznym słuszną czyni uwagę, że Szopen lubuje się w częstem używaniu przejść chromatycznych, enharmonii, a często powiększa jeszcze trudność czytania swych dzieł przez unikanie ortografii enharmonicznej, przez co niektóre akordy, pisane w 11 i 12 to krzyżkowych tonacjach, najeżone są podwójnymi krzyżykami (np. w etudzie *b moll*). Dalej uważa, że w budowie całości muzycznych rzadko bardzo trzyma się Szopen zwyczajów, przyjętych ogólnie, mianowicie rozpoczynania drugiego tematu na dominancie, powrotu do toniki we właściwym miejscu i t. d. Naprzykład w koncercie *e moll* z podziwieniem spotykamy tę swobodę, że temat

drugi jest w tej samej tonacji co pierwszy, tylko ze zmianą trybu minorowego na majorowy. Pod względem budowy swych dzieł Szopen odznacza się niesłychaną swobodą i genialnością (o czem świadczą naprzykład jego ballady), ale słuszną czyni pan S. uwagę, że opracowanie tematów (*tematische Arbeit*) zbyt małą gra rolę w jego kompozycjach, — ztąd ustępy środkowe w jego sonatach są zbyt skrócone i nie dość zajmująco przeprowadzone.

Pod względem rytmicznym zwraca uwagę na wielką swobodę, jaka u Szopena panuje, na bogactwo i elegancję melismatów (ozdób), przyczem jednak, wskazując trudność ich wykonania, nie wie, że Szopen lubił swoje passażyki zaczynać wolniej i przyspieszać przy końcu. (Przykłady między innymi: Nokturn *Es dur*, takty 16-ty i 24; koncert *F moll*, *Larghetto*, takty 26, 28, 30 etc.; Ballada *G moll* takt 33, Nokturn *G moll* takt 35 etc.) Charakterystyczną przy tem robi uwagę, nie wiem o ile słuszną. Utrzymuje pan Schuchta (str. 494), że gdy w większej części melodyj, kantyleń, passażów „naszych“ (t. j. niemieckich), melodyka przechodzi od spoczynku do ruchu, od wolniejszego ruchu do szybszego, — u Szopena przeciwnie, nieraz szybkie biegniki raptem zatrzymują się na nutach długich (całych lub półnutach), jakby nagle zmrożone jakimś przerażeniem, aby potem z nową werwą rzucić się naprzód. „Przypomina to nam, mówi on, dzikie tańce Szamanów (!) i innych ludów (!) którzy z najdzikszych skoków i najwyższego wirowania do nagłej bezwładności przechodzą i znów z gwałtownością się zrywają“.

— Oddaje jednakże autor tę sprawiedliwość Szopenowi, że budowa rytmiczna jego okresów, mimo tak bogatej fantazyj i uczucia, zawsze jest prosta, i da się najczęściej rozłożyć na prosty rachunek, 2+2, lub 4+4, albo 8+8.

Ze wszystkich dzieł Szopena, jego Nokturny najwięcej w panu Schuchcie budzą zachwytu. Ich koronkowa przejrzystość, ich poetyczna tajemniczość, wybornie przez niego jest oceniona. Mówiąc o pełnych elegancji grupach nut, przyozdabiających pierwszy nokturn *B moll*, dodaje: „Te grupy, jeżeli mają prawdziwie poetyczne sprawić wrażenie, powinny być muskane, jakby w naśladowaniu powiewu harfy eolskiej, lub szmeru wietrzyka wśród listków smętnego cyprysu“.

Pełna prostoty modulacja z *Des dur* do *D dur* i napowrót, zachwyca również naszego autora; o ustępie zaś gdzie septyma (*ces*) pozostawiona niejako w zapomnieniu, nie rozwiązuje się wcale, — tak mówi: „Tak bywa nieraz i w życiu tych, którym niebo nie zgotowało szczęsnego losu na ziemi. Najgorętsze życzenia ich serca nie mogą być spełnione, i ława abnegacya jedynym ich się staje udziałem. Dla takich dusz pisana jest Szopena muzyka... Jedyną ich ulgą są łzy, a łzami właśnie płacze Szopen“.

(O dwóch nokturnach, op. 27, wyraził się był Schumann zaraz po ich wyjściu na świat: „Są to — obok Fielda — ideały tego rodzaju utworów — kompozycje tak pełne serdeczności i zachwytu, że niepodobna utworzyć dzieła muzycznego, któreby je przewyższało“).

Oceniając trafnie i z niepospolitem uznaniem znakomite etudy Szopena, zastanawia się autor bliżej nad niektórymi; w szczególności o przedniej etudzie *Cis moll* (op. 25, N. 7), mówi: „... jest ona jedynym z najsłabszych, najcenniejszych muzycznych obrazów; jest to elegia, w której brzmi niewysłowiona boleść, i rzewna, do głębi poruszająca skarga. Dźwięczy w niej ta rozpacz, ten krwawy wyrzut stawiony losowi: „Dlaczegoż ja tylko zrodziłem się na cierpienie? Dlaczego uśmiechnęła mi się miłość, aby mię potem w straszniejszej jeszcze pograżyć rozpacz“.

Dziś, gdy etudy Szopena stały się dziełami klasycznymi, powszechnie uznanymi i bezspornie chwalonymi nawet przez mniej sympatyzujących z nim krytyków, ciekawem będzie może przytoczenie niektórych sądów krytyki współczesnej.

Tu winniśmy nadmienić, że pomijając Schumanna, który się niemi bezwarunkowo zachwycał, — znajdujemy w *Allgemeine Musikalische Zeitung* z 1834 r. taką recenzję o nich, pióra Finka (redaktora). „Sztuka egzekucji fortepianowej wzniosła się dziś tak wysoko, że wirtuozy, pragnący sprostać wyma-

ganiom chwili obecnej, nie może poprzestać na studyowaniu dzieł dawniejszych mistrzów. Potrzebujemy więc czegoś nowego. Wspomniane etudy (op. 25) są rzeczywiście nowe; ale i równie trudne jak nowe. Wziąwszy je pierwszy raz do ręki, wydało się nam, jakbyśmy nagle przeniesieni byli do krainy ciemności, w której osobliwsze jakieś tajemnicze życie gnomów i elfów wirowało gwałtownie. Pewna jednak łączność w całości, jakieś prawo jedności, wyłaniające się niewyraźnie z pomiędzy grup potwornie powiązanych było jedynym światłem, dodającym otuchy do dalszego badania. Powoli formy się rozjaśniały — i nocne obrazy wyłoniły się o tyle jaśniej, o ile to wśród cienia było możebnem. Fantastyczne grupy, jakby gnane przez niespokojne duchy, mieszały się w ciemnościach otchłani, oświeconej zaledwie bładem księżycowym światłem: ich postacie śmiały, jakby poległych w sprawie wolności rycerzy, jakby wdziały z groty Acheronu, jakby olbrzymy i smoki, przesuwali się przed nami — a przecież jedność była we wszystkim. Krótko mówiąc: etudy romantyczne, nowe i w sobie zaokrąglone“...

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZADANIA MORALNE

skreślił

Bronisław Chlebowski.

II. Życie powszednie.

(Dokończenie).

Prawo „walki o byt“ nietylko dla moralnego lecz i dla materialnego postępu ludzkości stanowi ogromną przeszkodę. Ile sił marnuje się przez nie nadaremnie, jak małe rezultaty osiągamy wielkimi wysiłkami, — o tem można się przekonać na każdym niemal kroku. Gdy zwierzę drapieżny, żyjący tylko z porwanej zdobyczy, toczy walkę z rywalem i na wydarciu nędznego łupu traci o wiele więcej sił i czasu niżby potrzebował na upolowanie — zdziwić się temu nie mamy prawa. Gdy jednakże podobną walkę spotykamy ciekawie między ludźmi, gdy zamiast zespoloną działalnością ułatwić sobie zdobycie materialnych warunków życia i harmonijną pracą wyzwać się z pod tyranii zwierzęcego prawa, ludzie marnują swe siły i zdolności na wydzieranie sobie wzajem okrucichów, które daleko prędzej i łatwiej uzyskaliby bez walki: zaiste, wstyd to i smutek niewymowny winno w nas budzić.

Nauka, przemysł i rękodzieła, rozwijające się ze zdumiewającą potęgą i blaskiem, uprzystępniają, upowabniają i mnożą do nieskończoności uciechy i udogodnienia materialne, które nas odrywają od wyższych celów, tłumią instynkta moralne, a poetyzują zwierzęce. Chęć łatwego używania przemaga nad wszystkimi popędami naszej istoty. Sześćście tymczasem, jakie pragniemy znaleźć w tem używaniu, zawsze przed nami ucieka, łatwość osiągnięcia uciech jest tylko pozorną, w istocie rzeczy bowiem zdobywać je musimy albo uciążliwą pracą; albo też kosztem godności własnej ze szkodą moralnych wymagań. Posiadanie nareszcie samo, czyniąc nas celem zawzięci mniej szczerliwych współpracowników, wprowadza liczne przykrości i niepokoję, niweczące trwałość szczęścia, o jakie się ubiegamy.

Ztąd-to powodów zniechęcenia ku życiu powszedniemu, ku pracom i obowiązkom jakie ono na nas wkłada, nie trzeba szukać w żadnym fatalizmie, w nieubłaganej konieczności trudów, cierpień i rozczarowań, lecz w nas samych jedynie, w naszym błędnem pojmowaniu celów życia i warunków szczęścia.

Jesteśmy najczęściej podobni do wędrowca, który, mogąc prostą drogą, wygodnie i bezpiecznie dojść do celu, puszcza się ubocznymi ścieżkami w pogon za ptaszkami i motylkami i w końcu zmarłotrąwszy czas i siły, wraca znękany, pokale-

(1) Rozbiór tego dzieła podał J. I. Kraszewski w numerze 12 *Bluszczu* r. 1877.

czony, do punktu wyjścia. Poznaje wtedy swój błąd, lecz zwykle już zapóźno dla naprawienia złego: sił i lat wrócić nie można. Prosta droga życia powszedniego nie ma dla nas powabu, bo nie umiemy się obronić pokusom odciągającym nas ciągle od prawdziwego celu, bo błyski błędnych ogników przekładamy nad blask prawdziwego światła, jakie oświeca życie tym, którzy umieją patrzeć na świat oczyma duszy. Na tym ostatnim warunku wszystko tu polega. Wzrok ten posiada każdy, nie każdy tylko umie się nim posługiwać. Zdolności duchowe, tak samo jak i fizyczne, wyrabiają się ćwiczeniem. Niewidomy, który nagle odzyskuje wzrok, z początku nie odróżnia wcale barw, form i odległości przedmiotów; powoli dopiero i stopniowo uczy się posługiwać tem narzędziem.

Wszystkie zmysły potrzebują takiej edukacji i bez niej albo źle funkcjonują albo zamierają zwolna. Ten dopiero staje się człowiekiem prawdziwym i żyje prawdziwie ludzkim życiem, kto zna samego siebie i zdobył sobie wzrok duchowy, pozwalający mu dojrzeć istotne cele życia, tudzież wyższą myśl i harmonię, tkwiącą we wszystkich zjawiskach. W dziejach ludzkości pierwsze przebudzenie się ducha nastąpiło w Grecyi, gdzie poraz pierwszy człowiek *poznał samego siebie* i poraz pierwszy wzrokiem ducha ujrzał blask ideału. Na nieszczęście, jak cały dorobek duchowy tak i świadomość siebie nie udziela się dziedzicznie następny pokoleniom i narodom. Każdy lud i każda jednostka muszą własną pracą dochodzić do tego stopnia rozwoju.

Brak lub zły kierunek tej duchowej edukacji jest powodem trzech powszechnych a zgubnych złudzeń, które podtrzymują w nas zniechęcenie ku życiu i niewiarę lub niedbałość o jego wyższe cele. Pierwszem jest przekonanie o niemożności osiągnięcia wyższych celów i udoskonalenia się we wnętrzu przy zwykłych ciężkich warunkach, w jakich się ogromna większość ludzi znajduje. Pogodzenie troski o chleb powszedni z troską o mannę duchową wydaje się im nieziszczonym marzeniem. Jakże to za sobą pociąga skutki, o tem mówiliśmy już poprzednio. Drugim, równie powszechnym, a o wiele szkodliwszym błędem jest lekceważenie wszystkiego, co się nam małym i drobnym wydaje. Drobną wydatki, drobne oszczędności, drobne starania, prace, postępy, nie mają dla nas znaczenia. A jednakże zarówno przyroda, jak rachunek, jak życie innych ludów, jak dzieje ludzkości—uczą nas tysiącami przykładami, że jak w świecie fizycznym tak i w ludzkim cały rozwój, całe życie i postęp jest tylko zjednoczonym działaniem niezliczonych drobnych czynników, które z biegiem czasu wytwarzają zdumiewające przekształcenia zarówno na powierzchni kuli ziemskiej jak w losach narodów. Religie i instytucje, prawa i obyczaje, wady i cnoty, sztuka i nauka: wszystko to jest tylko summa niezliczonej liczby drobnych faktów, usiłowań, poszukiwań, które, same przez się nie znacząc, zyskują w masie ogromną doniosłość. Jestto wielka a prosta prawda, której lekceważenie prowadzi u nas tysiące jednostek do ruiny, a na losach społeczeństwa całego odbiło się licznymi klęskami i zawodami. Każdy geniusz zjawiający się wśród świata nie tworzy swych dzieł z niczego, lecz tylko siłą natchnienia, bystrością swego wzroku duchowego ogarnia cały obszar ludzkich interesów, pojęć i uczuć wytworzonych mrówczą pracą wielu lat i pokoleń. Materiał ten skupia on i porządkuje na nowy ład, wytwarzając z niego nowe kombinacje, formy, instytucje, słowem, wiekopomne arcydzieła nauki, sztuki, polityki, będące tym sposobem prawdziwym uosobieniem, wcieleniem pewnej epoki życia narodowego. Każda rewolucja, polityczna czy społeczna, wtenczas tylko staje się uprawnioną i trwałą wydać może owoce, jeżeli zjawia się jako wynik i uwieńczenie poprzedniej mrówczej pracy mass narodu. Najgorętsza miłość i najżywsza wiara w wyższe posłannictwo narodowe nie zastąpią tych niezbędnych czynników w wielkim dziele urzeczywistniania idei narodowych. Takie niewczesne porwywania się ku nieprzygotowanemu i niejasno się rysującym celom naraża społeczeństwo na konwulsyjne szamotanie, sprowadzające, zamiast odrodzenia, tem większą niemoc.

Trzeciem ze złudzeń, tamujących nam należyte ocenienie wartości życia, jest obojętność na to wszystko, co nas stale otacza, do czego przywykliśmy w codziennym życiu. Myśl ludzka, chętnie wybiegająca poza krańce świata, pomijała długo bardzo to, co jej było najbliższem. Nasz wzrok duchowy długo bardzo ulegał wadzie dalekowidztwa, z której dziś dopiero zaczyna się pozbywać. Pogarda dla wszystkiego, co drobne, zniknąć winna po rozdarciu zasłony, która zakrywała przed nami cuda świata atomów i wymoczków. Jakże, zaiste, przeskoczyć pomiędzy dumnym pojęciem o związku losów ludzkich z ruchami ciał niebieskich a rezultatami dzisiejszej fizjologii, psychologii i statystyki, wykazującymi jak bliskie a drobne czynniki składają się na wytworzenie naszego organizmu, charakteru i losów! Zamiast bogów i bogiń, władających różnemi królestwami i zjawiskami przyrody zamiast potężnych kataklizmów, wywoływanych gniewem bogów lub bojami tytanów, nauka wyprowadza dziś na widownię nieprzeliczony zastęp nieodróżnianych okiem pracowników i czynników, atomów i żyłatek, których drobniańcze ruchy i siły sprowadzają tak olbrzymie rezultaty. Podczas gdy astronomia istnieje od kilku tysięcy lat, nauki społeczne są dziełem naszej epoki. Wszystko nie-zwykle, wybiegające poza granice i warunki naszego codziennego życia zwraca naszą uwagę, zaciekawia i zapala wyobraźnię, budzi pragnienie zbadania przyczyn i praw tego zjawiska.

Tymczasem dokoła nas zachodzi codziennie tyle ciekawych, choć zwykłych zjawisk; w nas samych odbywa się tyle tak ważnych, fizycznych i psychicznych procesów! Jednakże złudzenie wynikłe z nawyknięcia nie pozwala nam dostrzedz ich i należyte ocenić. Jak młynarz, którego, nie hałas młyna, lecz dopiero ustanie turkotu przebudza, tak i my wtedy zwykle zwracamy uwagę na jakiś fakt z codziennego życia, gdy fakt ten przestanie się pojawiać, gdy w zwykłej kolei wydarzeń zajdzie jakieś zamieszanie i przemiana. Ogromna większość ludzi nie domyśla się nawet, że od ich woli zależy usunięcie wielu codziennych niedogodności i zapewnienie sobie wielu łatwych udogodnień w życiu. Lata całe patrzymy obojętnie na rozwijanie się w nas pewnego nałogu, wady lub choroby, których usunięcie lub uniknięcie byłoby łatwym bardzo, gdybyśmy przywykli do bacznej obserwacji swych czynności i swego stanu i otoczenia. Iluż-to ludzi uniknęłoby nędzy, gdyby umieli wstrzymać się od drobnego lecz codziennego a niepotrzebnego wydatku, który, jeśli nie przekracza ich dochodów, to oszczędność ta wytworzyłaby po jakimś czasie znaczny kapitał zapasowy, w przeciwnym razie powstrzymałaby od zadłużenia się, prowadzącego tak często do zupełnej ruiny! Ileż chorób i cierpień uniknęliby ludzie przez powstrzymywanie się od nadmiaru w pokarmach i napojach, przez zachowywanie w życiu codziennym prostych a łatwych warunków higienicznych! Znajomość samego siebie, baczność na wskazówki instynktu moralnego od wielużby nas uchroniła wad, błędów i upadków moralnych! Iluż zawodów oszczędziłaby nam znajomość serc ludzkich, oparte na zbadaniu własnego!

Kto się nie pozbędzie tych złudzeń, kto nie nauczy się patrzeć na świat oczyma duszy i nie uchwyci niemi promieni ideału, temu życie zawsze będzie wydawać się mrocznym, powszednim, ten daremnie będzie błądzić po omacku, poszukując szczęścia, wyczekując innych niemożliwych warunków. W nas jedynie samych mieszczą się środki do przekształcenia tak warunków życia jak i samego życia, my sami jesteśmy panami swych losów: trzeba tylko wyzwolić się z niewolniczej uległości dla prawa „walki o byt“ i poczuć się człowiekiem.

SASIĘDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

Uradował mu się tem mocniej, iż miał powód obawiać się, aby kazania do siebie nie wziął, pobił więc ścisnąć gościa, a Erazma, nie domyślając się rany, tak ujął serdecznie w objęcia, że aż rumieniec mu z bólu na twarz wystąpił.

Jak zwykle p. Hojski był milezący, poważny, przemówił zaledwie kilka słów, dał głos daleko wymowniejszej siostrze, i niegardząc brzydką gorzałką proboszcza, przystąpił do stołu.

Widok Hojskich na probostwie, zaraz po ostrem kazaniu, uczynił na szlachcie dobre wrażenie. Słyszano o zajściu na Osowcu: skłonni byli teraz wszyscy jego winę zwalić na Czemyński, który i tak popularnością się nie cieszył, rażąc swem państwem i fumami.

Strukezaszyc był napozór w humorze wysmienitym, co też miało znaczenie swoje, uśmiechał się, bakał po słówku. Szczególną uwagę na Hojskich zwrócił ksiądz ex-definitor, który, zaproszonym będąc przez ks. Dagiela, właśnie się na probostwie znajdował. Chociaż kapelanem był w Łopatyczach, nie miał żadnej potrzeby poślubić nienawiści tego domu, a że ciekaw był Hojskich i z widzenia ich znał, starał się przybliżyć ku nim.

— A więc, pocziwy Sliwka—rzekł w duchu— albo łgnał, albo mu oczy mgłą zasłży. Człowiek kosą raniony, czwartego dnia nie wdzieje obcisłego kontusza! Chłopiec wygląda jak ryba.

Ponieważ stali, smarując chleb masłem z jednej masielniczki z Hojskim, Dominikanin, korzystając z tego, rozmowę począł.

— Wszak—rzekł, wskazując na Erazma—godna konsolacja pańska?

— Tak, syn mój.

— Cieszę się, że go w zdrowiu oglądam—dodał śpiesznie ex-definitor—bo mówiono....

— Co? co mówiono?—zapytał dobrze, udając zdumienie Hojski.

— A—to tam ludzie plotą zwyczajnie, koszalki opalki—spuszczając głowę, dodał Dominikanin.

— Czemu sobie nie mają pozwolić, zełgać, nie nie kosztuje, rzekł Strukezaszyc. Dzięki Bogu, mój pocziwy Erazm, jak go widzicie—krew z mlekiem! Mówiono mi, że puszczone pogłoskę jakoby na sianożęci był, gdy się tam bójka wszczęła! Cha! cha! To nie jego rzecz.

Dominikanin popatrzył i zaczął jeść chleb z masłem.

— Kazanie było śliczne—dodał po chwili Hojski, prawda, mój ojeze?

Ksiądz Ambroży głową tylko potwierdził.

Tak spełniwszy co miał na myśli Hojski, pomówiłszy o rzeczach obojętnych, skinął na siostrę i syna i nareszcie ulitował się nad nim, żegnając księdza Dagiela, który go aż w dziedziniec wyprowadził. Panna Blandyna oczyma ciągle śledziła wyraz bólu na twarzy jedynaka, i admiiowała lacedemońską cierpliwość jego. Ledwie nie krzyknęła gdy skoczył do bryczki, a zaledwie ta odjechała nieco od plebanii, dobyła z torebki nożyczek, proponując rozcięcie rękawa.

Było to w istocie potrzebnem, gdyż, niezgojona a uciśnięta mocno, ręka, nabrzękła i Erazmowi się chwilami słabo robiło.

Strukezaszyc milczał.

— Cóż? jak ci jest? boli?

— Boli!—odparł Erazm—ciśnie.

— No, to tnij asińdzka rękaw, ale wewnątrz, bo możemy się z kim spotkać na gościńcu, a niepotrzeba, aby to ludzie widzieli.

Padł tedy nowy sajetowy kontusz ofiarą, bo

drżącą ręką panny Blandyny po szwie się skierować nie mogła i kieroszowała go neliłościwie.

Tymczasem powozy sędziego toczyły się ku Łopatyczom. Oddawna jejmość nie widziała kochanego małżonka w takim stanie rozdrażnienia i gniewu. A że wybuchnąć nie mógł z tem, co go dreczyło, przez drogę do woźnicy i sług się czepiał, fukając ciągle.

W kolasce jechały: p. Leonilla, pani St. Aubin i p. respektowa Maruszewska. Leczą, że ta po francuzku nie rozumiała, nauczycielka z uczennicą mogły swobodnie rozmawiać.

— A! ten ksiądz Dagiel — odezwiała się panna — pani zapewne nie uważałaś, bo to było po polsku, co płótł.

— Owszem, rozumiałam doskonale, tylko — dodała pani St. Aubin, to się nie stosowało do nas, ale do tego szlachetki, który siedział cały skonfundowany, z głową spuszczoną.

— Tak! za to syn jego miał minę, jakby nami i całym światem gardził, jakby wyzywał. Nienawidzę go.

Pani St. Aubin uśmiechnęła się.

— Ordynaryjnym jest, to prawda, minę ma nieznosnie zuchwałą, ale chłopiec wcale ładny.

Leonilla zakrzyknęła ze zgrozą:

— On! ładny! cóż pani mówisz?

— Trzeba być sprawiedliwą — dodała Francuzka — mówię ci, że ordynaryjny jest, ma minę lokaja może, ale jak Antinous — zbudowany i śliczny. Ryś aż nadto szlachetne. Co za profil! Ciągłe go widziałam z profilu, bo ani drgnął w czasie nabożeństwa, a na naszą ławkę i spojrzeć nie raczył.

I bardzo dobrze zrobił — przerwała p. Leonilla: byłby spotkał wzrok pełen pogardy i nienawiści.

— A mnie to gniewa, że go nie spotkał — rozśmiała się St. Aubin.

Po chwili rozmowa przerwana nanowo się rozpoczęła. Panna Leonilla odezwiała się do bony:

— Mówisz, że jest ordynaryjny; ja tego nie powiem, tylko zuchwałą — a ta duma w biednym szlachcicu, ma coś w sobie irytującego.

Dla nich jakby nas nie było w kościele, siedzieli pod bokiem, i żadne z nich nie raczyło nawet się obejrzeć.

P. St. Aubin, która wszelkiej piękności a szczególnie w młodych mężczyznach była wielką admiraorką, najniewinniej w świecie, po kilkakroć wracała do pochwał tego gburą, który tak posagowo wyglądał.

— Co za szkoda — dodała — że to bez żadnego wychowania, wśród tej brudnej waszej szlachty się sponiewiera!

— A! niech się sobie sponiewiera! — odezwiała się Leonilla — my nie mamy powodu rozczułać się nad tymi ludźmi, którzy ojcu pokoju nie dają!

Wśród tych rozmaitych uwag, dojechało do Łopatycz, a Czernyński, zaledwie wysiadłszy z karety, cały jeszcze zburzony, natychmiast Sliwkę wołać rozkazał.

Ekonom wiedział już co to znaczyć miało i, zaledwie z konia zsiadłszy, jak winowajca spieszył do ganku, gdzie nań burza czekała. Nie sam jednak: ciągnął za sobą Brackiego jako świadka.

Zobaczywszy go, zdala idącego, wybuchnął Czernyński:

— Cóżś mi beczelnie nakłamał! Jak acam śmiałeś mi pleść podobne baśnie! Ranny syn Strukezaszyc! ranny kosą: a ten chłystek wylegantowany stawia mi się do kościoła, zdrów, nie tknięty!

— Jasnie wielmożny panie — odparł Sliwka. Ja sam oczom nie wierzyłem, zobaczywszy go: lecz oto Bracki, który był zblizka, może poprząsiad na ewangelię, iż go krwią oblanego Morawiec le dwie wychwycił. To są czary, czy — ja nie wiem co...

— Jakie czary? — podechwycił Czernyński — acan byłeś pijany, Bracki też; wzięliście jakiegoś oficjalistę za paniczka! A to mi śliczne zwycięstwo, za które ja wam porobiłem prezenta! Siano te robójniki wychwyciły, i tej nawet nie mam satysfakcji, żeby zuchwałców nauczyli rozumu.

— Ale — przerwał Sliwka.

— Tu niema żadnego ale! — huknął Czernyński — ja zostałem okłamany — ja! Acan się ośmielił oszukiwać mnie! mnie! I ja mam acanu w innych rzeczach dawać wiarę.

Przerażony Sliwka, czując że, miejsce utracić może, jak stał tak kląkł, ręce podniósł do góry i gotował się do przysięgi.

— Ja przed księdzem, na ewangelię przysięgnę! — dodał Bracki. Jakożyno, pijanym nie byłem. Kropki w ustach nie miałem.

Przysłuchująca się zdala, strwożona sędzina, widząc męża w pasy wielkiej, co mu zawsze na zdrowiu szkodziło, przybiegła i odciągała go zaczęła.

Sliwka oprócz własnej przysięgi, ofiarował się dziesięciu chłopów sprowadzić dla poświadczenia, iż pan Erazm w istocie był rannym. Wrzawa i hałas trwały jeszcze czas jakiś, dopóki wreszcie sędzinie się nie udało niemal gwałtem męża odciągnąć. Stało na tem, że pragnący się oczyścić Sliwka, nazajutrz chłopów Łopatycznych miał przyprowadzić.

I on i Bracki mówili i zaklinali się z taką pewnością siebie, że w końcu Czernyński sam nie wiedział co myśleć i pomrukując, poszedł do stołu.

Czekano pod wieczór na ks. ex-definitora, którego na probostwie zostawiono: czy też on jakiej wiadomości nie przyniesie. Przybył dosyć późno ks. Ambroży i oświadczył, że na swe oczy Strukezaszyc z synem zdrowym jak ryba, widział i mówił z nim nawet, a miał ze słów jego najmocniejsze przekonanie, iż Erazm całe rannym nie był.

Nazajutrz nowe zawikłanie. Sliwka ludzi gotowych do przysięgi przyprowadził, świadczących, że Stasiak Worobiej, który się do tego przyznawał, kosą ciał syna Strukezaszyc.

Czernyński się żegnał i gniewał, niewiedząc co myśleć. Sturbowany był i ks. ex-definitor, lecz w końcu pierwszy na domysł wpadł, że rana lekka przygojona być musiała, a chłopak umyślnie do kościoła przybył, aby kłam ludziom zadał.

— Niechże i tak będzie — niech będzie jak chce! — zawołał Czernyński. Dość! *Satis pro peccatis!* Już mi się w głowie zawraca, — plunąć i nie mówić już o tem.

Zakazał mówić pan sędzia drugim, ale sobie myśleć nie mógł zakazać, i ciągle się z tem nosił.

Nie był jeszcze pewnym Strukezaszyc, co z synem pocznie; to go życzyl mieć przy sobie i powoli do gospodarstwa wdrażać, to żałował, że się na wsi zakopie. Widział i czuł w synu zdolności, radby był krescytywie, choćby dlatego, ażeby nią Czernyńskim dokuczyć, lecz się zarazem świata, pokus jego i odrodzenia syna od żywota szlacheckiego, od tego, co się zwał *in quo nati sumus* — obawiał.

W tej niepewności raz go stał do Lublina do palestry, to odwoływał do Sierhina. Tu chłopiec nie miał co robić, gospodarstwo szło dobrze i bez niego; polował potroszę, po lasach jeździł, czasem kogo odwiedził, — próżnował. Wpadło na myśl, opatrzonemu w kapitały, p. Hojskiemu kupić majątność dla syna; ta się jakoś nie trafiała, jakiej-by sobie życzyl, a potajemnie (do czego się nie przyznawał nikomu), Strukezaszyc oddawna się pieścił z myślą, która mu do serca przyrosła. Znał on doskonale stan interesów Czernyńskiego, lepiej może niżeli on sam, nieznacznie spisywał i z akt i z ust szlachty wszystkie summy i sumki, które sędzia ludziom był dłużny; patrzył na jego życie i miał to najgłębsze przekonanie, że przedź, czy później Czernyński (jak się wyrażał) beknie.

Naówczas, gdyby majątki iść musiały na wierzycieli, gotował się Hojski stanąć do kupna i zagarnąć je. Myśl ta uśmiechała mu się rajsco, cudownie, nęciła go, karmiła. Nie wydawał się z nią przedwcześnie, lecz miał oko na wierzycieli Czernyńskiego; nieznacznie obudzał w nich nieufność, czyhajac: czy mu się nie uda nabyć co z summ na Łopatyczach opartych?

Do tego jednak nie przychodziło, bo, mimo nader nieopatrzności gospodarstwa sędziego, wszyscy w jego zamożność niezachwianie wierzyli. Procenta wypłacał jaknajregularniej.

Nabywając inny jaki majątek dla syna, Strukezaszyc musiałby się był z kapitałem rozstać i wyrzec myśli potajemnej; wreszcie, jak wszyscy, co w pocie czoła grosza się dorabiają, Hojski do swej szkatułki i sepecika nabrał był tego mistycznego jakiegoś przywiązania, które rozstanie się, choćby najkorzystniejsze, z groszem, nader ciężkiem czyni. Pocięszał się tem, że — a nuż nareszcie beknie?

Znaczniejszą część długów na kluczu Łopatycznym Strukezaszyc miał spisana, wiedział, że gdyby wierzyciele nacisnęli, nie mógłby sędzia się wypłacić, a oprócz tego miał i tę pewność, że dużo innych summ jeszcze ciążyło na tych dobrach.

Ale co tu z synem robić było?

Erazm już kilka miesięcy siedział w Sierhinie; ojciec czuł, że nudzić się musiał, żał mu go było. Jesień się zbliżała, gdy po sąsiedztwie rozeszła się wieść, że p. Podkomorzy Buchowiecki, córkę starszą za grafa niemieckiego wydawał.

Pierwsza dostała ją w kościele panna Blandyna, spotkawszy się z panią Sierzputowską. Chodziła fama, że Buchowiecki, który do stolicy uczęszczał, a córki dwie modnie wychował, i panny były na podziw piękne, dostąpił szczęścia tego, iż graf jeden saski rozmiłował się w pannie Elizie, oświadczył się i przyrzeczenie otrzymał. Ponieważ ów graf na dworze Króla Jmości pełnił funkcję jakąś wysoką i do gabinetu pańskiego miał przystęp, Podkomorzy z tego wesela spodziewał się ogromnych dla siebie i rodziny korzyści. Była już obietnica starostwa z *jus communicativum* dla żony, były i inne sperandy.

Zazdroszczono i pannie i ojcu tego szczęścia, choć mówili drudzy, iż graf, mimo swojego położenia na dworze pobożnego króla, lutrem był, co dla katolicki wcale nie przyjemnem się stawało; drudzy szeptali, że choć wyglądał młodo, przeszedł czterdziestówkę, inni, że okrutnie się w karty puszczał. Na to wszystko niezważając wcale Podkomorzy, szczęśliwą swą kolligację z niemieckimi grafami, chciał obchodzić z niezmierną okazałością i przy jak największej frekwencji obywatelstwa. Wesele miało się odbyć wkrótce. Sam Podkomorzy, na listy i na posły się niezdając, objeżdżał od komina do komina najdalsze sąsiedztwo, prosząc i zaklinając serca obywatelskie, aby mu okazały jako jest — kość z kości ich — i tłumnie się na wesele lisko zjechali.

Podkomorzy był z Łopatyczami w stosunkach ścisłych, i samo z siebie się rozumie, iż, jednego z pierwszych p. sędziego zaprosił z córką.

Nie przyszło naówczas na myśl nawet Czernyńskiemu zapytać: czy Strukezaszyc będzie też na weselu? Nie suponował, aby się to mogło trafić. Buchowiecki o tem nie wspominał. Sędzia, któremu o to szło, aby córkę świata pokazał, a szczególnie niemieckim grafom, baronom i wszelakiego tytułu matadorom dworskim, ucieszył się weselem, uściślał Podkomorzego i już myślał o tem tylko, jak ma wystąpić.

Zachodziła konieczna potrzeba wydatku znacznego, bo i do cugu parę koni brakło, i barwę odświeżyć wypadało, i trzydniowe, conajmniej, wesele, sukien dla panny sędzianki pięciu do sześciu wymagało. Pani St. Aubin utrzymywała, że trzy razy w dzień przebierać się było koniecznością dla osoby przywoitej, a dwa razy jedną suknię okazać na świat — o tem ani można było myśleć, bez srogiej kompromitacji.

Sędzia posłał po szlachcie na zwiady i spodziewał się kilkaset czerwonych złotych ułowić. W najgorszym razie drzewo padłoby ofiarą, a z tem się nie rachowano.

Z Łopatycz jadąc, Podkomorzemu Sierhin był po drodze. Niemając wielkiej z Hojskim zażyłości, Podkomorzy nigdy z nim przecie dla przyjaźni Czernyńskich nie zrywał. Spotykali się tu i ówdzie, jak dobrzy znajomi. Zapraszając niemal całe dwa powiaty od kołka do kołka, ominąć Hojskiego było srogą obrazą. Tej się dopuścić nie chciał Buchowiecki.

Być może, iż rachował na to, że się Strukezaszyc wymówi i nie przyjedzie, nalegać jednak nań było i przyzwoitem i obowiązkiem.

Zawrócono do Sierhina.

Wyszedł na spotkanie Strukezaszyc, dziękując za łaskę mu uczynioną, wprowadził do pokoju, i w kwadrans potem stała buteleczyna i lampki, a wgrzyn wielką przyjaźń i afekt rozbudzał.

Podkomorzy, gdy się wina napił, stawał się niezmiernie czułym, porywał w objęcia, cisnął, całował i ślił; wynurzając sentymanta w sposób tak przesadzony, że albo się trzeba było z nich śmiać albo w nie uwierzyć.

Przy drugim kieliszku, opowiedziawszy o szczęściu swem, Podkomorzy zagaił, iż nie dla czego in-

nego przybywał, tylko na to, by zakłócić, błagać, prosić, suplikować czcigodnego przyjaciela, aby wesele swą drogą przytomnością, wraz z synem zaszczyścić raczył.

Spostrzegłszy na twarzy Strukezaszyca zdumienie pewne, Podkomorzy, niewiele myśląc, przykląkł, poklekali oba, pili tak całując się, zdrowie swe i konsolacyi, aż gdy kolana zabolaly, Strukezaszyca, na krzesle gościa posadziwszy, odezwał się w te słowa:

— Za honor-bym to sobie poczytał! Dzień-by to był w annalach familii złotemi wypisany głoskami, ale—kochany Podkomorzy — *corde aperto*, pozwól niech spytam i uczynię uwagę:—Prosiłeś Czemeryńskich?

Zmieszal się Buchowiecki.

— Co to ma do tego!—zawołał—proszę wszystkich, kto łaskaw na mnie! Takci jest, prosiłem Czemeryńskiego, a nie zapytał mnie czym was, kochany przyjacielu, zapraszał lub nie, pewnym będąc, zaiste, iż ominąć tak godnego obywatela nie mogłem.

Argument był bez repliki.

— Hm! — odezwał się Hojski — zapewne, lecz spotkanie bodaj u jednego stołu, niemiłem być może.

— Stołów będzie dosyć, miejsca pódostatkiem, a ludzi tyle, że tam ani się stykać ni spotykać nie będziecie mieli potrzeby. Jeśli nie uczynicie mi honoru tego, uczuję ja, uczuję córka moja,—boleć będziemy, jakoś przyjaciel mój.

Zaklął tak wciąż, a Hojski milezał z głową spuszczoną.

— I odmawiać-bym niechciał, i obiecywać nie śmiem!—rzekł wzdychając.

— Co u kata!—krzyknął rozochocony Podkomorzy, pomyśl ludzcie, ba i powiedzą, żeś się go zląkł, bo nie pomyśli nikt i injuryi mi tej nie uczyni, aby mnie o pominięcie was pósadził. Wiedzą wszyscy, że tu miał być.

Posądzenie to, że Hojski mógł się uleknąć, podziało najskuteczniej. Drgnął Strukezaszyca i zapłonął się.

— Ja się go bać!—wybąknął—a, niedoczekanie!

— No, to przyjedziesz i z synem, skonkludował Podkomorzy.

— No, to przyjadę!—stanowczo odezwał się Hojski.

— Słowo i ręką!

— Słowo! Podali sobie ręce. Zapito zaraz sporym kielichem.

Prawdę rzekłszy, czy Podkomorzy rad był bardzo, że mu się to tak udało, trudno zgadnąć. Odejechał, w powozie głową potrząsając i mrużąc:—No—stało się!

Po odejściu jego, Strukezaszyca, zupełnie trzeźwy, bo kilka kieliszków starożyna nie robiły mu różnicy, chodził po pokoju zafrasowany. Erazm dnia tego był na polowaniu. Panna Blandyna stała przy powidłach: ledwie pod wieczór się jej doczekał.

— Wiesz co się święci — rzekł — lichy nadało, Podkomorzy mnie przydusił, obsedował: dałem słowo, że na weselu córki jego będziemy.

— No, to cóż!—zapytała Blandyna.

— Ba! i te Łopatynce też będą!—zawołał stary.

Aż w ręce uderzyła panna — lecz po krótkiej chwili dorzuciła:

— Niby to zachorować nie można?

— Powiedzą, że mój chór, bo mi to już Podkomorzy dał do zrozumienia; nie mogę się absentować.

— Juści awantury nie zrobi.

— Hm, przy kieliszkach za nie ręczyć nie można—odparł Strukezaszyca—ale słowo się stało.

Pojedziemy.

Stało na tem. Wieczorem, już nie ojciec, ale ciotka oznajmiła o tem wracającemu z polowania Erazmowi. Jakoś go to nie poruszyło.

— Dlaczegożbyśmy nie mieli pojechać? — odezwał się.

Młodemu uśmiechało się pono, że się miał trochę rozerwać; rad był ludzi zobaczyć, może nawet poskakać.

Żywa imaginacja ciotki, przedstawiała jej wszystkie możliwe następstwa spotkania się z Czemeryńskimi.

— Proszę ja ciebie, mój Erazie!—mówiła—bo to

wszystko być może—a nuż, czy przy stole, czy przechodząc, się spotkają?

— To się wymina!

— Nuż się temu pyszałkowi co wypśnie?

— Ojciec pewno odpowie.

— No, tak i do szabel....

— Ludzie nie dopuszczają.

Panna Blandyna, sama też będąc zaproszoną, choć ochoty nie miała do tego festynu, lecz za nie w świecie nie byłaby go się wyrzekła. Zdawało się jej, że brata pilnować powinna i dopilnować może. Zajęła się więc rogowką, bez której na wesele nie sposób się było ruszyć, robronem, wstażkami i zakłopotana tem trochę, o niebezpieczeństwie zapomniiała.

Erazm miał z łaski ojca na występ tak paradnych parę garniturów całkowitych, iż mu na niczem nie zbywało, Strukezaszyca też zaopatrzony był w garderobę choć nie nową, lecz nadzwyczaj pięknie zachowaną i wytworną.

Co się tyczy zaprzęgów i służby, nie myślał się na nie nadzwyczajnego sadzić, nowa barwa była, uprząż dobra, nie frasował się o nic.

Dniem przed weselem wszyscy się goście zjeżdżać mieli. Do majątku Podkomorzego, położonego w Brzeskiem już, mil było z Sierhina opętanych pięć droga zła, a że pora jesienna nadeszła, starczyło tego na cały dzień, bo o zagrzeźnięcie spokojnym nikt nie był. Na utrapionych zaś grobelkach inaczej jak noga za nogą, ani myśleć jechać. Ponieważ podróży poubieranym odbywać nie było podobna, musiano myśleć i o tem, gdzieby się przebrać; posłano albo karezmę lub chatę na ten cel zamówić.

Z Łopatycz się wybierano także, ani nawet pomysławszy o Sierhinie i możliwości spotkania się z Hojskimi, gdy ksiądz ex-definitor, pojechawszy do proboszcza po oleje święte do kaplicy, od niego przywiózł zarazem wiadomość, że Hojscy też na weselu być mieli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FRYDERYK VAN DER KIRKHOVE.

W Belgii, w Brugii, zmarł przed kilku laty chłopczyk jedenastoletni, tak słabowity, nieśmiały i skupiony w sobie, że wiele osób uważało go za idyotę, przecież dowiedziano się po śmierci, że biedne to dziecko było geniuszem. Zostało po nim sześćset krajobrazów, malowanych olejno, a jak prassa belgijska doniosła, sześćset arcydzieł, i wiadomość o tem podało za nią pismo nasze między drobnymi rozmaitościami. Dziś ta wiadomość, nieprawdopodobna z pozoru, nabiera wagi, rozjaśniając się faktami niezbitę wiarogodności: o cudownem dziecku napisano książkę i urządzono za prac jego wystawę, w Paryżu ostatecznie, a niejedyn malarz, niejedyn z najpierwszych mistrzów pędzla stał gozdziwy całe przed drewnianymi deseczkami, na których drobnuchna rączka zostawiła ślady genialnego dotknięcia. Wystawa ta, urządzona przy ulicy Lafitte, w Czerwcu zeszłego lata, składała się ze stu małych krajobrazów, malowanych na deseczkach rozmaitego kształtu, z których niektóre są pokrywkami, lub ściankami pudełek cygarowych, największe zaś nie przechodzą rozmiarów podręcznej teki, a choć biorąc rzecz ze strony technicznej, znajdują się tu braki różne, niemniej są to rzeczy zadziwiającej piękności, zadziwiającego wyrazu i poezyi. Ten to wyraz, ta poezya właśnie, złączona z niezmierną, niekiedy aż naiwną, dzieciinną prostotą, pociąga szczególnie i przykuwa nieprzeparcie wzrok, którego nie nuży pozorna przedmiotów jednolitość, wyjąwszy bowiem dwóch, wszystkie zresztą wystawione krajobrazy przedstawiają kawałek ziemi, płat nieba i drzew trochę, często jest tu i woda, rzadko kiedy budynek jaki. Częściej majaczy na nich widok wioski odległej, ni knącej w przestrzeni, ale niebo i drzewa: oto przedmiot główny. Nigdzie ani człowieka, ani zwierzęcia—natura samotna, widziana oczyma niewysłowienie smutnego poety. Ojciec dziecka już po jego śmierci umieścił na każdym prawie z wysta-

wionych krajobrazów. gdzieś z boku, postać maleńką, to siedzącą, to stojącą w zadumie, ale uczynił tem krzywdę rzeczy. Chciał on w uczuciu miłości rodzicielskiej uwiecznić w ten sposób pamięć drogiej sobie a znikłej z ziemskiego świata istoty, ale niemniej jest to szkoda i krzywdą dla poety, który tu wypiewywał duszę swoją przez linie i tony barw. Ludzie nie chcieli uwierzyć, że może to być dziełem dziecka i ta niewiara wywołała nawet początkowo ze strony malarzy belgijskich silne, gniewne, aż namiętne zaprzeczenie wiarogodności faktu. Uważano rzecz za fałsz, za podejsięcie ojca dziecięcia, zamożnego kupca z Brugii i wielkiego lubownika sztuki, a razem malarza rodzajowego, van der Kirkhove, któremu przypisywano twórstwo dzieł, nacechowanych przezeń z umysłu pewnemi naiwnościami, aby podstęp ukryły. Jakimże przecież mógł być powód podobnego fałszerstwa? Van der Kirkhove ojciec, był malarzem amatorem bardzo miernym, ten zaś ktoby był zdolny do wykonania takiej sztuczki, byłby niewątpliwie zasłynął jako mistrz wielki. Ojciec nawet nie umiał sam ocenić dostatecznie piękności tych dzieł dziecińczych, i po śmierci dopiero syna, rozżalony jego stratą, pokazał znajomemu sobie pocięciu Siret, piszącemu po flamandzku, te pamiątki po zmarłym synku, widząc w nich jedynie dowód budzącego się już zamiłowania do sztuki. Ale Siret wykrzyknął że to już jest sztuka sama, że to są dzieła niepospolite, że przemawia z nich siła cudowna — geniusz! Wtedy zebrano jeszcze starannie całą tę pozostałość, wśród pracowni ojca rozrzuconą i pokazało się 600 krajobrazów, motywów, szkiców, które zmarłe dziecko malowało, począwszy od 7 roku życia, a z tych 100 wybranych wystawiono na widok publiczny, najpierw w mieście rodzinnem chłopięcia, następnie w Antwerpii, Gandawie, w Bruxelli wreszcie i Paryżu, a od tej chwili nazwisko dziecka staje się sławnem, Fryderyk van der Kirkhove zostaje zaliczonym do rzędu wielkich, oryginalnych malarzy natury; lecz zarazem szkoła wierząca tylko w technikę, w rutynę, w umiejętnie zużytkowanie efektów, wydaje protest i krzyczy na niemożliwość. Z tego starcia wyszła książka, napisana przez Siretę i dostarczająca niezaprzeczonych świadectw wiarogodności zjawiska. Dziecko było cudownem; — geniusz był dlań niby owym demonom, który ogarniał prorokinie greckie; tworzyło i cierpiało, tworzyć zaś poczęło z tą chwilą prawie, w której ręce dorosły dotyla, aby narzędzia sztuki swojej utrzymać mogły. A nawet jakie to były narzędzia! kawałek deseczki w miejsce płótna, kawałek deseczki w miejsce palety, zaś pendzel rzadko kiedy używany, i tylko do delikatniejszych szczegółów, zastępował najczęściej nożyk kieszonkowy, którym farby zwykle grubo nakładane, rozprowadzane były; czasem nawet służyło do tego jakieś zastrugane drewnienko.

Ludziom, którzy lata poświęcać potrzebują dla zdobycia sobie środków na wyraz artystycznego swego widzenia, taka łatwość, taka prostota sposobów nie chciała się w głowie pomieścić i upokarzająca ich zarazem, wykazując co to jest siła genialnego natchnienia. Chłopiec nie malował nigdy na sztalugach żadnych: siadał poprostu na ziemi, i trzymając w lewej ręce deseczkę, malował, umieszczając, jak mu było najdogodniej, farby obok siebie. Czasem się kładł i malował w takiej postawie. W piątym roku zaczął malować na około obrazków, które jak zwykle dzieci dostawał, i od tej pory pozerął go niejako głód tworzenia; nie można mu było dostarczyć obrazków, które na swój oryginalny sposób obmalowywał, i wtedy ojciec zaczął go uczyć rysować, ale zaledwie pokazał mu pierwsze zasady rysunku, już dziecko, zdające się odgadywać resztę, poczęło się drzeć samodzielnie naprzód. Ojciec dawał mu wzory do kopiowania, krajobrazy głównie, bo o te prosił, ale tylko kilka linii pierwszych kopią było, indywidualność twórcza działała tak silnie, że dziecko nie mogło się poddać odtwarzaniu i oryginalnem zupełnie było dzieło, w którym ojciec nie mógł już odnaleźć podanego do oddania wzoru; że zaś mały twórca był bardzo słabowity, zwykła karność pedagogiczna nie mogła tu mieć miejsca, i zostawiano mu swobodę niemal zupełną. Biedne chłopię prawie od urodzenia cierpiało na silne bóle głowy, które niekiedy tygodnie całe nie pozwalały na żadną naukę. Nauki języ-

ków, gramatyki nie lubił nieborak i nie miał do nich zdolności, a nawet przeciwnie, szło mu to tak trudno, jak łatwą i lubioną rzeczą była historia i geografia. Wyobraźnia dziecinna zapalała tu się w sposób gorący a zawsze dziwnie głęboki i podniosły. Marzył zawsze jakieś rzeczy wielkie, ogromne, tajemnicze; zadawał pytania, na które trudno mu było odpowiedzieć, a wtedy płakał nieraz z żalu, że nie może się dowiedzieć, co poznać pragnął. Często znajdowano go z tej przyczyny we łzach: dziecko to stało już przed zasłoniętym obliczem bogini z Sais i bolało, że zasłona istnieje. — Jakim jest Bóg? było nieustanną jego myślą i zapytaniem; niezmiennie lubił chodzić na cmentarz, pragnąc kiedy ujrzeć ducha, chciałby był biedz za każdym konduktem pogrzebowym, a pytany przez matkę: dlaczego to czyni? odpowiadał, że może zobaczyłby duszę ulatującą z trumny.

Muzykalnym też był niezmiennie i miał wielką miłość muzyki; nigdy go grać nie uczono, przecież wybierał sobie na fortepianie usłyszane melodie, lub improwizował akompaniament do piosenek, własnego utworu. Były zwykle bardzo proste i smętne — proste i smętne jak jego obrazy, tylko że z malowaniem nie krył się szczególnie, a piosenek swoich nie śpiewał nigdy przy nikim, nawet przy rodzicach. Podsluchiwało go tylko, gdy przecież ktośkolwiek wszedł do pokoju, gdy spostrzegł, że ktoś jest w bliskości, oblewał się rumieńcem wstydu i najczęściej uciekał. Widać, że muzyka była wyrazem najtajniejszych, najgłębszych jego myśli i wzruszeń serca.

A była to dusza bardzo kochająca, bardzo potrzebująca miłości i ciepła uczuć. Gdy był obok rodziców, uczuwał jakąś przepotężną potrzebę tulenia się do nich. Chciałby był trzymać wciąż ręce matki lub ojca, ciskał się ku nim, jakgdyby chciał grzać u ich piersi wątłą swoją istotę. Twarz miał bladą, delikatną, oczy siwe, tak duże, że się wielu osobom nieproporcjonalnymi, przerażającymi wydawały. Przerażał może ich wyraz poważny, pełen zadumy i często tęsknoty, wyraz dojrzałego człowieka, a chłopiec choć rósł szybko i był wysoki nad lata, ale bardzo delikatnie zbudowany i niezmiennie szczupły. Było w nim całym coś zbudzonego, wybiegłego przedwcześnie, a głowa była zawsze, od dziecka, nieprawidłowo duża, wypukłe w czole rozwinięta. Cierpiał na nią nieustannie, ciężko i nieraz aż skarżył się matce na cierpienia. Gdy zapadał w niemoc, lub rysy okazywały że cierpi, pytany, pokazywał czoło i wierzch głowy: — Tu boli — mówił — boli wciąż... czasem trochę mniej, ale nigdy nie ustaje zupełnie, zawsze boli....

Umarł na zalenie mózgu krwią.

Mimo słabowitości swojej, ruch miał łatwy i zręczny, stawy szyi, kolan, ramion i rąk były silne. Cała niemoc i potworność skupiała się w głowie.

Wrażliwy niezmiennie, był też przy wielkiej czułości serca, tkliwości uczuć, bardzo litościwym i miłosiernym. Widok ubóstwa, nędzy, cierpienia ludzkiego bolał go niewymownie i niemal znieść go nie mógł, oddawał ubogim co mógł tylko, nieraz zabierał matce co znalazł w spiżarni i wynosił na ulicę. Żebraki, biedni miasta, wiedzieli o tem i zbiegali się licznie po jałmużnę, po wsparcie. Matka czasem musiała mu powiedzieć, że nie może już dawać więcej i wtedy rozżalał się ciężko. — Dlaczego są na świecie ubodzy, dlaczego jest na świecie nędza? pytał z goryczą. Będąc małym, gdy widział wróble dziobiące coś przed domem, zwrócił uwagę na to i zapytał: kto żywi ptaki? — Bóg... odpowiedziała matka, on też potem zawołał raz z żalem: — Dlaczego Bóg nie nakarmi wszystkich ubogich, nie spuszcza im tak pożywienia jak ptakom? Głębokość uczucia sprawiała, że obrazy boleści nie zacieraly się prędko w myśli, i ta-to pamięć o cierpieniu, uczyniła zeń melancholijnego sztukmistrza, bo melancholia panuje przedewszystkiem i we wszystkim, co Fryderyk van der Kerkhove stworzył: wieje w jego powietrzu, płynie z wodą, patrzy z bladych niebios na smutną ziemię. Ale co uderza przytem najsilniej, że jest w tem mniej właściwego rozmarzenia, niż głętokiej, mekkiej powagi spokojnego smutku. A przecież wszystkie motywy jego krajobrazów, jak już powiedzieliśmy, są najwyższej prostoty, przedstawiają widoki najpowszedniejsze:

kraju lasu nad cichą, drzemącą wodą, albo piaszczysty brzeg i kawałek, jakgdyż zadumanego nad czemś, morza, a w dali jakaś posepna skała. To znowu kilka starych już, usychać zaczynających drzew, a za nimi bardzo stary dom, w którym mieszkać muszą bardzo nieszczęśliwi ludzie. Najmniejsze z krajobrazów zdają się właśnie wzruszać najsilniej, a są niektóre ledwo że dwanaście centymetrów wzdłuż, a pięć wznwyż mające. Jest tam naprzekład kawałek, mało co szerszej niż palec drogi, ponad nią trochę mizernej trawy, i kilka krzaków na pół już ogołoconych z liścia. Albo jakaś piaszczysta wydma, na niej kępki niskie chudych ziół i jedna delikatna roślinka, ledwo zakorzeniona, ledwo trzymać się mogąca ziemi. Niekiedy sterczy samotna skała, albo odłam skały tylko: kamień twardy, szary, a boleśnie zadumany, nigdy zaś nad tem jasnego, wesołego promienia słońca i wyjąwszy dwóch krajobrazów szerokich płaszczyzn, z dalekimi widokami mieszkań ludzkich, nad którymi wiszą cicho tęskne, jak gdyby senne, jednostajne błękity, wyjąwszy jeszcze dwóch innych, o których będzie później, wszędzie niebo jest szare, jak we Flandryi bywa najczęściej, a obłoki, to ciemne to jasne, płyną przez tę szarość skupionemi grupami, ciągną tak naturalnie, jakgdyby oko miało przed sobą rzeczywistość. Czasem mgła zaciąga cały widnokrąg, a górą chmury wiszą jedne nad drugimi, piętrzą się w potężnych, groźnych massach. Niekiedy gorące plamy na tych warstwach obłocznych każą się domyślać, że jest poza nimi słońce; niebo nad morzem ma zwykle groźny, przerażający wyraz, zdaje się, że za moment wybuchnie burza, zawyją wichry, zaczną bić pioruny i fale, głuche, martwe, spokojne, zaczną bałwanić się, miotać i rzyć.

Rozmaitość nieba jest u Fryderyka van der Kerkhove niewypowiedziana, i jest też to głównie malarz nieba — i ziemi na jego krajobrazach zawsze mniej od niebiosów, czasem ledwo jej pasek wązki, a zresztą wszystko tylko niebo! niebo! Oprócz opisów, czytanych w sprawozdaniach prassy, słyszeliśmy od holenderskiej podróżniczki Storm, bawiącej zeszłego roku w Warszawie, o nieopisaną siłę wrażenia, jakie wywiera widok tego setnie mieniącego się nieba. — Kto tych obrazów nie widział — mówiła nam zgodnie z tem, co pisano — nie potrafi pojąć, jakim przepotężnym gwałtem widok ich na widza działa, oczy i dusze do siebie ciągnie, przywiązuje. I powietrze jest wszędzie mistrzowsko oddane, czuć je między listkami każdego drzewa, przepływa wszędzie, jest w świetle, jest w ciemności, otacza każdy przedmiot, wypukłość, napełnia wkłesość. Malarze francuzcy unosili się nad tem powietrzem, zwali je cudownem; sposoby zaś otrzymywania tego wszystkiego, tej prawdy, tej siły, tak łączą w sobie wyszukane delikatności doświadczonej ręki z intuicyjnymi i niepraktykowanej prostoty środkami, że trzeba sobie powiedzieć jedynie: geniusz!

Po niebie, drzewa są najważniejszym przedmiotem wśród krajobrazów van der Kerkhove, a rozmaitość w ich oddaniu nieskończona jest, przez zadziwiającą charakterystykę, zadziwiające cechy nadanej im indywidualności. Są to drzewa takie jak wszyscy i wszędzie widzą, to bogato uliścione, to bezlistne, albo tak w tę ozdobę zieleni ubogie, że budzą żal, jakgdyby się czuło, że są chore, soków pozbawione, jakgdyby to były istoty, które cierpią, są zagłodzone, znędzniałe. Tu się chylą jakgdyby je skłaniała wołająca gdzieś tęsknota, tam wiatr je targa, rwie, ówdzie stoja w spokojnej swej sile wyniosłe. Jedne stanowią grupę, jakgdyby gromadka, która się w przestachu jakimś zbiegła i tuli się do siebie lekliwie; dalej to niby para co się ze sobą na złe i dobre losy złączała; w dali gdzieś las tworzy łagodne, ciemne, chłodne przestwory: zawsze przecież wszystkie te drzewa żyją, czują, wypoczywają, albo są wzruszone; te marzną, te łakną, te wzywają ratunku, jednych smutek jest tak ciężkim, że chcą umrzeć, drugie są pełne pokory i zrezygnowane.

Niektóre z tych krajobrazów są tak malowane, że trzeba mieć się w pewnem oddaleniu od oczu, mianowicie wszystkie te, gdzie główną rzeczą jest niebo. Niebo to oglądane z bliska, przedstawia chaos szarej, białej, czarnej farby, trzeba przecież cofnąć się tylko w należyta odległość, a występuje nam przed oczy widok wspaniale piękny spiętrzo-

nych chmur, lub płynących z wiatrem obłoków. Drzewa przecież i w ogóle wszystkie widoki zarośli, ziół, traw, wody, zyskują niezmiennie na blizkiem wpatrzeniu się, bo ukazują nam się wtedy dziwnie delikatne, dziwnie wypracowane, oryginalnej piękności szczegóły. Młode, przejrzyście oddane ulistnienie drzewek drobnych, ukazuje się jakby jakaś kiść paproci, widzianej przez mikroskop, a czasem maleńki kwiateczek jakiegoś ziółka zachwyca oko. Koloryt jest wszędzie pełen tej harmonii i umiarkowania, jakie się spotykają tylko u wielkich malarzy; jedynie na trzech krajobrazach zbyt pstre mury budynków stanowią pod tym względem wyjątek. Zresztą nigdzie farba za gorąca zbyt się w oczy nie ciska; nigdzie przecież nie brak jej ciepła i siły — wszędzie piękno wysokie.

Prassa francuzka, oceniając te obrazy dziecinne, przyznała, że ich nie należy, nie można już nawet, sądzić jako takie. Wytyskając błędy, które nie pozwalają uznać ich za względne arcydzieła, uznała je niemniej za utwory znakomitego pendzla, które przez pewne przymioty swoje: oryginalność, siłę, głębokość i uczucie, rzadką poetyczność wyrazu, najpięrszym nawet malarzom krajobrazów za wzór służyć mogą.

To dziecko, umierając, miało lat dziesięć i miesięcy jedenaście, a dwa krajobrazy przedstawiają: deszcz ognisty!... Czy chłopię marzyło wtedy o końcu świata? Tu już niema nic, nie więcej prócz nieba: deszcz ognia nie pada strumieniami płomieni, ale zdaje się, że to powietrze płonie i kłębi się. Czarnorude chmury gna straszliwy wieher, pędzą i wydają z siebie ogień czerwony.

Fryderyk malował niezmiennie szybko, niemal jednym tchem wykonywał cały obraz, potem brał się do drugiego i tak dalej. Ale po pewnym czasie wracał do skończonej niby roboty i poprawiał, wykończył, wykończył bardzo starannie, często zacierał i poprawiał, i to sam z siebie, przez własne niezadowolenie, przez uczucie wyższego piękna, niż to, które oddał. Ojciec aż do śmierci syna, aż do sądu, który o tych pracach wydał inni, widział w tem tylko dziwaczność i zamiłowanie do sztuki, na które w przyszłych skutkach rachował. Jeżeli przecież czasem chciał coś poprawić, chłopiec broniał i uderzał w płacz, biegł do matki z żalami, że ojciec zamazuje mu, co zrobił. To, co pragnęło być poprawką, było dla niego zatraceniem jakiejś jego myśli, zniszczeniem jakiegoś wyrazu, który podchwycił w naturze i chciał oddać w krajobrazie. Ojciec nie czuł tego, co czuł syn, który też wołał, zatrzymując grożący mu pędzel: — Niech tak zostanie, tatku! to takie są moje drzewa, takie jest moje niebo....

Przedmioty do krajobrazów czerpał z natury, albo z wyobraźni, budynki tylko — zawsze przecież jako zarys pierwszy — brał ze sztychów, których pracownia ojca przedstawiała mu zbiór wielki. Przechadзки, które odbywał z ojcem, były dla niego studiami natury, wzrok jego cudownie chwycił linie i barwy, miał poczucie i widzenie rzeczy, których ojciec nie widział i nie czuł. Musiało tak być, bo stopień ich obdarowania był różny. Przecież zastanawiało mocno ojca, co syn mówił mu wtedy, czasem aż się lękał, tak dojrzałe, poważne i głębokie były myśli jego i poglądy na piękno, na sztukę.

Wracając z przechadзки pragnął zawsze samotności, uciekał najczęściej do pracowni ojcowskiej i jeżeli nie zaczynał natychmiast malować — nigdy nie rysował pierw szych obrazów — to siadał, lub kładł się na ziemi i spoczywał tak z zamkniętymi oczyma. Odtwarzał w wyobraźni widziane przedmioty; przetwarzały mu się wtedy one w cudownem świetle ideału, jakim gięniusz jego je oblewał. A miał dość czasu na chwile takie cichej fantasmagoryi marzeń, bo nieszczęsne dziecko cierpiało od najwcześniejszego dzieciństwa na bezsenność. Nigdy biedny Fryderyk nie przespał nocy całej snem pokrzepiającym, zdrowym; leżał godziny całe w ciemności, a spytany przez matkę, czy mu bardzo smutno wtedy? odpowiadał: Myślę sobie, mamoo...

— O czem? pytała troskliwa, a on uśmiechał się łagodnie. — O różnych rzeczach — odpowiadał — o różnych rzeczach, które chciałbym malować.

Zwykle w nocy bolała go głowa; jedna jedyna

noc, którą przespał całkowicie, była ostatnią przed śmiercią.

Drugą męczarnią tego biednego życia było chorośliwe i nigdy niedające się zupełnie zaspokoić pragnienie; tyłkoko odjąwszy szklanę z napojem od ust, czuł, że już pragnie znowu i choćby był wypił nie wiedzieć ile, pragnąłby bez końca. Jadł też niezmiernie wiele, dawano mu rzeczy najbardziej posilne, ale rzeczywiście nie go posilić nie zdołało, całe jego życie było niemocą.

Pęknięcie krwionośnego naczynia załało krwią mózg i skończyło się życie młode dnia 12 sierpnia 1874 roku. Sztuka straciła niewątpliwie wielkiego, szlachetnego mistrza, przecież ta śmierć wczesna była liścią Boga dla anormalnie ukształtowanej istoty, była dla niej odpoczynkiem i wyzwoleniem. Usnęło nakoniec chłopię biedne, zaspokoilo tęskną ciekawość swoją: jak duch ludzki rozwija skrzydła, by wlecieć ku górze? Może koło grobu tego poety natury, wśród drzew i kwiecica, którymi rodzice otoczyli jego mieszkanie ostatnie, powtórzyla się szeptanych głosów rozmowa: (1).

Grób pytał róży:—Kwiecie woniające,
Gdzie ty podziewasz te perły drżące,

Którymi zorza cię rosi?...
Róża mówiła:—Przepaści ciemna,

Co czyni twoja tajnia podziemna
Z tymi, co blada śmierć kosi?...
Aż róża rzekła:—Grobie ty! grobie!

Ja słodki balsam, złoty miód robię
Z wypitych kropielek rosy...

Grób odpowiedział:—Z ciemni mej łona,
Gdzie jest garść prochów ludzkich złożona,
Anioł się wzbija w niebiosy.—

Należy tu dodać szczegół jeden jeszcze. Wspomniana wyżej podróżniczka holenderska, Storm van der Chys, jest niepospolitą znawczynią i miłośnicą sztuki; posiadaczka znacznego zbioru obrazów, mogła szczególnie wykształcić sobie smak przez to już samo, że wśród długich wędrówek zwiedziła wszystkie wielkie galerie i muzea świata, wszystkie pracownie dziś żyjących malarzy (była i w pracowni Matejki, który ją obdarował szkicem, zdaje się bitwy pod Grunwaldem). Otóż ta pani, znająca największe arcydzieła sztuki malarskiej, widziała krajobrazy Fryderyka van der Kerkhove w czasie ich wystawy w Antwerpii i została uderzona, tak jak wszyscy, ich wysokimi zaletami, ich melancholijną poezią. Widywała je często, przebywała z nimi godziny całe i zdało jej się, że już napatrzyła ich się dość, aby poznać i nalubować się każdą z ich piękności. Gdy przecież wystawa została wywieziona z Antwerpii, ją ogarnęło nieprzparte pragnienie widzenia jej jeszcze i pojechała do Gandawy, aby patrzeć dłużej na dzieła cudownego dziecięcia. Odpowiada to temu, co paryzki korespondent niemieckiego pisma *Gartenlaube*, przytoczył jako charakterystykę wrażenia wywieranego przez krajobrazy Kirkhova. Pewny malarz francuzki, człowiek silnie uczuciowy, rzekł mu o nich: — Ktoby, posiadłszy je, zawiesił w swoim pokoju, musiałby mówić wkrótce: — Mam je.... ale: one mnie mają....

Holenderka pokazywała nam w albumie swoim posiadaną kopię jednego z mniejszych krajobrazów: nad zakrętem rzeki, na piaszczystym, wzgórkowatym brzegu stoi drzewko, a raczej jakiś krzak drobolistny, bardzo nędzny, liście na nim niezmiernie skąpo, niemal tylko wierzchołki gałązek wypuszczają je, trochę jest też dołem korony, środkiem przecież ledwo, że znajdzie się jakiś gdzieniegdzie i niektóre są już żółte, choć czuć przez światło i powietrze, że to lato właśnie. Krzak ten stojący nad wodą zdaje się mrzeć z pragnienia; piasek suchy, na którym wyrósł z nasionka, zanieśionego tam przez wiatr—przez przypadek, czy przeznaczenie?—nie może go napoić i wiemy, że nie napoi nigdy dostatecznie. Kopia tego dramatu w naturze była wykonana farbami wodnymi przez jakiegoś młodego malarza holenderskiego.

M. I.

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Poznań w Styczniu 1878 r.

Wśród licznych odgłosów dochodzących was z różnych świata punktów bliższych i dalszych, brak dotąd echa naszego w Poznańskim — życia, ruchu społecznego i umysłowego, tej najstarszej polskiej dzielnicy, słowem, peryodycznej kroniki, któraby do zajmującego planu wiadomości zawartych w korespondencyach ze Lwowa, Londynu, Paryża i zagranicy, dorzuciła szczupłą wiazankę na Wielkopolskiej ziemi urosłą. Niełatwo bowiem ztąd pisywać listy bardzo wesołe lub życia pełne: w smutnych warunkach upływają nam dni szare i jednostajne, materyalne i moralne trudności zewsząd nas obsaczają i ścieśniają zakres działalności. A jednak działalność ta nie ustaje, sparaliżować przeciwnościami się nie daje: owszem, rozwija się szlachetnie i po owocach poznać można dobroczynne jej wpływy.

Księstwo Poznańskie bowiem, aczkolwiek pod wielką względami mniej od innych krajów uposażone, mniej w świetne nazewnątr dary bogate, nikomu się wyprzedzić nie daje pod względem pracy i zrozumienia jej uszlachetniającej konieczności. Wprężnięci w jarzmo obowiązku, ziemianie poznańscy, zaprawdę, w pocie czoła ziemię swą uprawiają; i na tem polu, osobistym trudem, do pięknych dochodzą rezultatów. Zkądinąd praca w roli nie odrzuca ich od wyższych robót społecznych i umysłowych zajęć. Stosunkowo zapewne mniej u nas czytają, mniej piszą i drukują; niemniej z każdym rokiem i w tym kierunku zaznaczamy wyraźny postęp. Kwestya oświaty ludu sumiennie i czynnie oddawna tu została podjęta: nie brak już książek, nie brak pism peryodycznych dla włościan.

Ruch umysłowy nie zdołałby się rozwinąć skutecznie, gdyby nie znalazł odpowiedniego dla siebie ogniska; zespalającego w sobie rozstrzelone usiłowania. Takim ogniskiem jest w Poznaniu *Towarz. Przyjaciół Nauk*. Ostatnie walne zebranie, odbyte na d. 10 Stycznia r. b., uwydatniło chwalebą działalność rzeczzonego Towarzystwa. Czcigodny prezes, zasłużony tłumacz Szekspira, pan Stanisław Koźmian, odczytał szczegółowe sprawozdanie z całorocznych prac i zabiegów pojedynczych wydziałów i członków. Największem onej działalności pomnikiem, jest wyszły już z druku tom pierwszy *Kodeksu Wielkopolskiego*. Ważną tę publikację zawdzięczamy hojności hr. Jana Działyńskiego; tudzież zabiegiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Dalsze tomy niebawem ukazać się mają. Obok tego monumentalnego przedsięwzięcia podjęto jeszcze inne, niemal równie znaczące dla studiów źródłowych; jest to *Liber Beneficiorum* Łaskiego, dzieło niezmiernie wagi i znaczenia.

Wciąg ubiegłego roku, Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłosiło dwa konkursy: jeden dramatyczny, wyczerpujący pozostały z pierwszego fundusz, w nadziei, że ta zachęta lepszy wywoła plon od poprzedniego, w którym ilość nie jakoś celowała; drugi zaś historyczny na temat dziejów Słowian Nadłabiańskich.

Jak się dowiadujemy ze sprawozdania czcigodnego prezesa, zbiory Towarzystwa wciąż znacznie rosną. Jest nadzieja, że gmach muzealny nareszcie w tym roku ukończonym zostanie i pozwoli rozłożyć i urządzić cenną bibliotekę, galerię obrazów, zabytki archeologiczne i t. d., z których, dotąd dla braku miejsca, niepodobna było korzystać.

Druk *Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk* w tych dniach rozpoczętym zostanie. Czcigodny prezes, złożwszy hołd zmarłemu wciąg ubiegłego roku członkom, silnie odparł zarzut jakoby w Ks. Poznańskim umysłowość w ostatnich czasach obmizować się miała, a pole piśmiennicze zaległo ngorem, i to w chwili właśnie, kiedy w innych dzielnicach coraz bujniejszym zakwita żniwem; uwydatnił mianowicie trudy i zabiegi pisarzy, w stosunku do ludności, niemniej licznych u nas, jak w Galicji lub Królestwie Polskiem, cenne wydawnictwo *Biblioteki Kórnickiej*, działalność Towarz. Przyjaciół Nauk,

nareszcie druki arcyważnych dzieł historycznej i literackiej treści, jakie nie przestaje z grodu naszego rozsyłać najpierwszy z księgarzy polskich. Piękne to ostatnie świadectwo, zaiste, należało się p. J. K. Zupańskiemu, którego zasługi powszechnie są znane. Nieustając w chwalebnej zabiegliwości, p. Zupański pomnaża ciągle liczbę ważnych swych wydawnictw. Zaledwie ukazały się w trzech-tomowej pełni *Dzieje Polski* Fryderyka hr. Skarbka, już możemy się jego *Pamiętników* spodziewać. Obok filozoficznych dzieł Trentowskiego i Libelta witamy *Korespondencyę* Lelewela, *Pamiętniki* Niemcewicza, nowe wydanie *Historji polskiej* Morawskiego i t. d. Na grobie Siemińskiego składa p. Zupański dwutomowe jego *Varia*, owe ostatnie kwiaty z bogatej literackiej spuścizny, nieodżałowanego tłumacza *Odysei*. Podobnież po skonie ks. Alexandra Jełowickiego ujrzeliśmy nowe wydanie jego przesłicznych *Wspomnień*, z tak niezrównanym ogniem i życiem napisanych. Ale dość tej suchej nomenklatury, niewyczerpującej przedmiotu, niezdolnej obliczyć ani zasług, ani publikacyj p. J. K. Zupańskiego.

Nie dziw, że przy nim gasną inne firmy księgarskie, znikają zabiegi innych nakładców. Nie zatrzymujemy się też nad ich działaniem, zacnem nieraz i pracowitem, ale nierównie doniosłością mniej znaczącem. Uwzględnić tu jeszcze należy wielkie materyalne trudności, które w ostatnich latach wszelkie kępowały przedsiębiorstwa, a tem bardziej literackie.

W istocie bowiem, mimo skupienia sił pod sztandarem pracy, wyznać musimy, że nie brakło klęsk wciagu ubiegłych lat: nieurodzaj, obniżenie cen produktów rolnych, mianowicie okowity i wełny, *krachy* finansowe, wszystko to odeczuć się daje w ogólnej materyalnej biedzie. Ma się rozumieć, w mieście bieda ta o wiele jaśniejszą się uwydatnia, aniżeli na wsi; brak ruchu handlowego przyprowadził już niejedną firmę do upadku, powody oszczędności obywateli zatrzymują w domu, zima nie ożywiła wcale stolicy; tyle mieszkań stało pustkami, że ostatecznie za bezcen je wynajmowano, stosunkowo tylko przytulki nędzy zachowały dawne wygórowane ceny dzierżawy, a ztąd większa jeszcze niedola. Daj Boże, aby dobroczynność bogatszych choć w części umiała przynieść ulgę nieszczęśliwemu położeniu ubogich. Karnawał corocznie wywołuje kilka zabaw w tym celu urządzanych. Nie ganiemy bynajmniej tego zwyczaju, chcielibyśmy tylko, aby owe dobroczynne bale nie stawały się powodem do rozwijania szalonego zbytku, jakim, niestety, grzeszą wielkopolskie panie. O ile wśród mężczyzn corazto większy zaznaczamy rozsadek, oszczędność i pracowitość o tyle, niestety! zbytek strojów coraz smutniej ogarnia płeć piękną; a elegancja ta niezawsze pozostaje w granicach dobrego smaku. Nie widać tu kosztownych klejnotów, odziedziczonych po przodkach dyamentów i koronek, ale za to ciężkie materyje nowoczesne, najczęściej upięte podług cięższej jeszcze mody berlińskiej. Paniutki nawet porzuciły powiewne dziewczęce muśliny i gazy, aby przybrać się w mory, aksamity i jedwabie, i ma się rozumieć, że ani wdzięki ich, ani kieszenie ojcowskie na tej przemianie nie zyskują.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Świat roślinny w południowej Afryce

przez Dr Ant. Rehmana.

(Dalszy ciąg).

Jeżeli w tę porę ogień dostanie się przypadkiem do lasu, co w tych stronach prawie corocznie się zdarza, to znajduje obfitą karm w zaskłanych krzewach i gałęziach, szerzy się z nieopisaną

(1) Wiersz Wiktora Huga.

gwałtownością, pochłania w kilka godzin ogromne obszary, a wśród pożogi giną nieraz zabudowania gospodarcze z całym dobytkiem. Ludzie i zwierzęta, zaskoczone niespodzianą pożogą, tracą życie w płomieniach, a cały kraj zostaje na ogromne narażonym straty. Pożary lasów są plagą tej części Afryki; powtarzają się one corocznie i ogromne czynią spustoszenia, na które mieszkańcy okolicznych patrzą z obojętnością. Koloniści podpalają zazwyczaj sami lasy, ażeby zwiększyć obszar pastwisk, albo przygotować ziemię pod uprawę, ale ograniczenie pożaru według potrzeby uważają za rzecz zupełnie zbyteczną i dlatego kładą ogień z nadzwyczajną lekkomyślnością, przyczyniając się do własnej ruiny i zubożenia całego kraju.

Las karłowaty wznosi się co najwyżej do 1,200 stóp wysokości. Wszystkie pozycje wyższe, przypierające bezpośrednio do gór, są tutaj pokryte lasem dziewiczym, posępnym, dzikim, ciemnym i nieprzystępnym. Mieszkańce Europy, którego wzrok przywykł do jednostajnych zarostów leśnych tej części ziemi, który zna tylko jednolite nasze sosny, buczyny, brzeziny, grabiny i t. d. z trudnością zdoła sobie utworzyć wyobrażenie o powierzchni takiej lasu. Naturalista, zapuszczający się do jego wnętrza, czuje się prawie przerażonym chaosem form i bogactwem gatunków; napotyka on cokołk nieznanego sobie twory, a różnorodność form jest tak wielka, że niepodobna tu jest prawie znaleźć dwóch albo więcej jednakowych drzew obok siebie. Należą one wszystkie do drzew zawsze zielonych, nie tracących nigdy liści; rozmiary liści są dość skromne, ale różnorodność barw i postaci prawie niewyczerpana. Nawet rośliny szyszkowe (*Podocarpus*, w trzech gatunkach) nie zgodziłyby się tutaj na nazwę drzew szpilkowych, bo są opatrzone liśćmi dobrze rozwiniętymi, blaszkowatej postaci. Prawie wszystkie drzewa, bez względu na swój wiek i rozmiary, odznaczają się wzrostem bardzo wyniosłym, dochodzącym do 120 stóp. Po brzegach lasu rosną tylko cienkie okazy, ale w jego wnętrzu zdarzają się nieraz pnie trzymające dwanaście stóp w przekroju.

Chaos form zostaje w wysokim stopniu zwiększony przez rośliny wiciowate. Niepozorne ich łodygi, wyciągnięte niekiedy jak postronki, spinają się na najwyższe konary drzew i zwieszają ku ziemi gęste festony gałęzi i liści posplatanych w najdziwniejszy sposób. Niektóre z nich posiadają kwiaty bardzo ozdobne, wielkich rozmiarów i żywej barwy i nęcą do siebie roje motyli i polyskujących chrabąszczy. Po brzegach lasu, a nawet i wewnątrz jego, gdzie promienie słońca łatwiej znajdują przystęp, zdarzało mi się nieraz napotkać do ośmiu gatunków lianów na jednym i tym samym drzewie i potrzeba było długiego przeciągu czasu, ażeby rozpoznać, które liście do których kwiatów lub owoców należą.

W głębi lasu roślin wiciowatych jest znacznie mniej, ale zato stare pnie i konary drzew są ulubionym schronieniem roślin pasożytnych. W drobniutkich zagłębieniach na chropowatej korze drzew, gromadzi się tutaj zawsze mały zasób ziemi rodzajnej, która przyciąga wilgoć z powietrza, a niewidzialne zarodniki paproci i drobniutkie nasionka storczyków wymagają bardzo mało do swojego rozwoju. Trudno powiedzieć, co przymusza te roślinki do spinania się na najwyższe gałęzie drzew; ale zdaje się, że najważniejszą pobudką jest dążenie za światłem. W dolnych warstwach lasu panuje wieczny cień i chłód, a liczba roślin przywiązanych do takiej gleby jest stosunkowo dość mała. Prawie wszystkie inne utwory roślinne dążą tutaj za światłem; dlatego bezlistne łodygi lianów wznoszą się na najwyższe gałęzie drzew, ażeby tutaj pod wpływem światła i ciepła rozwinąć swe liście i kwiaty, a inne drobniejsze pasożyty cze-

piają się łodygi i gałęzi, ażeby być bliżej tej ogólnej życiodawczej potęgi. Stare i zbutwiałe pnie, obrośnięte dokoła pasożytami, przedstawiają nadzwyczaj zajmujący widok. Najwięcej pasożytów dostarcza tutaj rodzina paproci; znajdowałem ich nieraz po kilkanaście gatunków na jednym i tym samym pniu, walczących o piędz gleby, a pień taki, ukryty wśród gęstej mieszaniny powiewnych i kształtnych listowii, przeniesiony do szklarni europejskich, zwróciłby z pewnością na siebie uwagę nawet najobojętniejszego z widzów. Liczba storczyków jest stosunkowo mniejsza; tworzą one pewien rodzaj arystokracji miejscowej. Nie mieszą się prawie nigdy z paprociami, lecz żyją w odosobnieniu na pewnych gatunkach drzew, bez względu na ich wiek i rozmiary, rozkoszując się na miękkim trawniku różnobarwnych mchów. Kwiaty ich nie dorównują rozmiarami i żywością barw postaciom tropikowym, ale niektóre gatunki (*Angraecum*) odznaczają się pomimo to wdzięczną postacią i miłym zapachem.

Po miejscach niskich, obfitujących w wilgoć, wzrost drzew jest najbujniejszy, a popłatanie konary olbrzymów leśnych tworzą tam gęszcz, którego nie zdołają przebić promienie słońca i dlatego gleba w miejscach takich pokrywa się jedynie gęstym zarostem paproci zielnych. Po miejscach suchych drzewa są mniejsze, ale liczba ich jest większa, a w środku nich rozwija się nieprzebyty gęszcz drobniejszych krzewów. Łodygi i gałęzie drzew pokrywają się w miejscach takich ozdobnymi meszkami; bogactwo form, jakiego dostarczają te na pozór niepozorne roślinki, jest tutaj prawie niewyczerpane, a wzrost tak bujny, że niektóre krzewy, przygłuszone trawnikiem mchów oplatających ich gałęzie i liście, wiodą przez pewien przeciąg czasu żywot upośledzony i giną na koniec zwalczane przez niepozornych przybyszów.

Lasy, tutejsze są źródłem niewyczerpanej rozkoszy dla badacza, bo potrzeba długiego czasu, ażeby rozróżnić wszystkie tutejsze drzewa, krzewy i paprocie, a jeszcze dłuższego, ażeby poznać wszystkie mchy, porosty i inne niepozorne roślinki skrytokwiatowe. Po kilkumiesięcznym pobycie na przykładu Dobrej Nadziei, znużony widokiem dzikich skał i nagich pagórków, zapalałem gorącą żądzą ujżenia afrykańskiego pierwoboru i wyznaję, że pierwszy jego widok był dla mnie zachwycającym. Był to jednakowoż tylko zachwyt naturalisty, którego umysł został uderzony widokiem nieznanych dotąd utworów świata roślinnego. Po kilku tygodniach, gdy wzrok oswoił się z nowymi formami, a pobyt w lesie nie dostarczał już więcej nowych przedmiotów, wrażenie to zaczęło słabnąć i ile razy zapuszczałem się w głąb kniei albo przebywałem długą drogę, wiodącą przez las do domu, doznawałem pewnego umysłowego znużenia, którego ostatecznym objawem była żądza wydostania się czempredzej z lasu. Lasy nużą umysł swą jednostajnością. Widok jest tutaj zamknięty z boków i z góry, a wzrok, ograniczony do najbliższego otoczenia, napotyka ciągle te same przedmioty. Nie doznawałem tego wrażenia nigdy w czasie późniejszych podróży, gdy pędził długie miesiące na niezmiernych obszarach stepowych południowej Afryki, chociaż zdobycze botaniczne były tam o wiele mniejsze, a niewygody daleko większe, bo na stepach wzrok buja swobodnie po obszarach nieczem nieograniczonych i budzi poczucie swobody, które odświeża umysł, zwiększa zasób sił moralnych i równoważy przykrości fizyczne.

Zmienia się w lasach widok tylko tam, gdzie wnętrze ich przecinają rzeki albo potoki. Uroczym wyglądem krajobraz leśny, kiedy niespodzianie rozstąpi się gęszcz drzew i krzewów, spośród zielonych ścian zabłyśnie na chwilę jasny błękit nieba, albo ukaże się wazka wstęga ciemnobrunatnej wo-

dy przedzierającej się z szumem przez zbielałe odłamy skał lub płynącej spokojnie łożyskiem poprzerwanym gdzieś smugami białego piasku. Nad brzegami potoku rosną tutaj zazwyczaj rozrzucone grupy drzewiastej paproci (*Alsophila capensis*); łodygi tej uroczej rośliny dochodzą do dwunastu stóp wysokości i nie gałęzią się nigdy, lecz dzierżą na szczycie swym koronę złożoną z kilkunastu olbrzymich, drobniutko posiekanych, powiewnych liści, co nadaje roślinie postać palmy, ale paprocie drzewiaste przewyższają zawsze palmy wyższą zielonością i lekkością. Ponad zarostem paproci wznoszą się konary odwiecznych olbrzymów popłatanie roślinami wiciowatymi, których gałęzie, przeskakując z drzewa na drzewo, spuszczają ku ziemi gęste kłęby zieloności lub igrają z falami potoku. Jeżeli woda podmyje brzegi i wypłucze ziemię spod korzeni drzewa, wówczas traci ono równowagę, przechyla się nad potokiem i zasłania widok stopniowo; takie drzewa jednak przyczyniają się najwięcej do urozmaicenia krajobrazu leśnego, bo konary ich, niezasłonięte z góry, bywają daleko obficiej zwilżane deszczami niż inne drzewa, pokrywają się w krótkim czasie roślinami pasożytnymi, a wśród różnobarwnej mieszaniny mchów, porostów, paproci i storczyków widywałem na takich pniach pewien rodzaj wielkiego widłaka, którego zwieszane, biczowate gałęzie, pokryte drobniutkimi listkami najżywszej zieloności, do czterech stóp długości dochodziły.

Takie lasy pokrywają górzystą część południowego brzegu Afryki. Od strony zachodniej, gdzie ludność jest gęstsza a pożary częściej się wydarzają, zostały one dobrze już przetrzebione, ale od rzeki Knysny (czytaj Najsny), ciągnie się ku wschodowi obszar nieprzebytych lasów dziewiczych, długi na siedmiedziesiąt mil angielskich, znany pod nazwą lasu Zizikammy (czytaj Cicikammy). Aczkolwiek cywilizacja w południowej Afryce szybkie czyni postępy, to nie udało się jej jednakowoż jeszcze zajrzeć do wnętrza tych lasów, wskutek czego zachowały one do dziś dnia tę samą postać, jaką miały przed wiekami, a gromady opasłych słoni i bawołów, żarłoczne pantery i lamparty, uganiające się za niewinnymi antylopami, figlarne małpy i gromady różnobarwnego ptactwa, są jeszcze ciągle wyłącznymi ich mieszkańcami. Tylko myśliwi albo naturaliści zapuszczają się niekiedy do wnętrza tych lasów. Ścieżki, wydeptane przez olbrzymie łapy słoniów, są tutaj jedynymi szlakami, a chytry i przemyślny Buszman—jedynym przewodnikiem. Słonie nie są groźnymi dla zwiedzających, ale pomimo to zapuszczenie się do wnętrza tych lasów nie jest bezpiecznym, bo w zarostach czatuje częstokroć ukryty dziki i złośliwy bawół afrykański. Krótkie i rozplaszczone jego rogi zrastają się przy podstawie i tworzą w poprzek czoła tarczę szeroką na 10 do 12 cali. Nie znosi on widoku człowieka i bez najmniejszej przyczyny wypada zazwyczaj niespodzianie z zasadzki, rzuca się na przechodzących, uderza rogami, tratuje kopytami i nie odstąpi nigdy ofiary, dopóki ta ostatniego technienia nie wyda.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tytułem: Zamek Daly.

TREŚĆ. Fryderyk Szopen i nowsza krytyka niemiecka, przez Jana Kleczyńskiego. — Zadania moralne II, (dokończenie), przez Bronisława Chlebowskiego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Fryderyk van der Kirkhove, przez Maryę Ilnicką. — Korrespondencja zagraniczna, (Poznań). — Z działu przyrody, (dalszy ciąg), przez Dr Ant. Rehmana.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Января 1878 года.